

Nieubłaganie topnieje liczba osób, które potrafią opowiedzieć o wydarzeniach z lat 1939-1945 na podstawie okrucich własnej pamięci. Był czas, że wiele osób wołało zachować milczenie, a niektóre tematy pozostawały całkowitym tabu. A gdy wreszcie, po zmianach ustrojowych 1989 roku, można było już powiedzieć więcej, ... nie pozostał prawie nikt, kogo można było zapytać o sprawy z tamtej tragicznej przeszłości.

Miłym zaskoczeniem było dla mnie odkrycie książki *Wojna 1939-1945 we wspomnieniach mieszkańców Ostrowi Mazowieckiej i okolic*, wydanej w roku 2019 przez **Miejską Bibliotekę Publiczną im. Marii Dąbrowskiej w Ostrowi Mazowieckiej**. Publikacja zawiera 58 wspomnień bezpośrednich świadków wydarzeń oraz relacji rodzinnych osób, które przeżyły tragedię okupacji niemieckiej lub sowieckiej, dostały się do niewoli lub obozów koncentracyjnych, zostały wywiezione na przymusowe roboty do Niemiec czy wysiedlone na Syberię i po latach tułaczki wróciły do kraju. Wielką zaletą jest dla mnie fakt, że są to wspomnienia osób żyjących tuż obok nas.

Trudu ich zebrania i opracowania podjęły się panie **Jadwiga Sadowska i Alina Wierzbicka**. Dokonały jedynie subtelnej redakcji językowej, dzięki czemu zachowały przystępną, często emocjonalną formę wypowiedzi.

Zamierzam opublikować kilka pochodzących ze wzmiankowanej książki opowieści, jako zachętę do zapoznania się z całą publikacją.

Pierwsze teksty dotyczyć będą wywózki naszych rodaków na Syberię. Przypomnijmy, że 17 września 1939 roku na wschodnie tereny Polski wkroczyła Armia Czerwona. 28 września podpisano w Moskwie „układ o przyjaźni i granicach między ZSRR i Niemcami”, w którym dokonano m.in. korekty niektórych postanowień zawartego ponad miesiąc wcześniej układu o nieagresji. W wyniku nowych ustaleń większość obszaru powiatu ostrowskiego znalazła się pod okupacją niemiecką, a część wschodnia pod okupacją sowiecką

Od 10 lutego 1940 roku ludność powiatu ostrowskiego, zamieszkałą po stronie sowieckiej zaczęto wywozić w głąb Rosji, na Syberię. W pierwszej kolejności dotyczyło to rodzin leśników, nauczycieli, urzędników, bogatszych rolników.

Cykl ten inauguruje tekst pani Zofii Dudek-Mościckiej, która opowiada o swojej niezwyklej tułaczce przez kilka kontynentów, by wreszcie w 1947 roku wrócić do Polski.

Mam cichą nadzieję, że dla wielu osób będzie to inspiracja, do wysłuchania opowieści dziadków, rodziców, sąsiadów. Wcześniej czy później także one mogą stać się bezcennymi świadectwami przeszłości.

Ilustracja wyróżniająca opracowanie to okładka wspomnianej książki, która będzie znakiem rozpoznawczym także dla kolejnych tekstów.

Jerzy Madzelan

Z LEŚNICZÓWKI W GRUDZIACH NA SYBERIĘ

Wspomnienia Zofii Dudek-Mościckiej

Mój ojciec Władysław Dudek, legionista z pierwszej wojny światowej, był leśniczym w leśnictwie Grudzie (kilka kilometrów od Ostrowi przy szosie na Zambrów), należącym do Ostrowi Mazowieckiej. Gajowymi w leśnictwie byli: Samsel, Romanik, Galasiński i Jutrzenka (nie pamiętam imion). Po wejściu Rosjan do Polski 17 września 1939 roku, Grudzie znalazły się na granicy, po stronie rosyjskiej. 10 lutego 1940 roku wszystkie rodziny gajowych i leśniczych z tego terenu wywieziono na Syberię do Irkuckiej Obłasti (region), rajon (powiat) Tajszet, posiołek (osada) Kwitok. 7 tysięcy kilometrów od Polski.

Gdy już ustalono granicę sowiecko-niemiecką wykwaterowano nas z leśniczówki na gajówkę Samsła, jego zaś z rodziną przeniesiono na wieś. Z naszej leśniczówki zrobiono rosyjski punkt graniczny, strażnicę. W chlewiku, który służył wcześniej naszym prosiakom przetrzymywano ludzi złapanych na granicy.

Ojciec mój coraz rzadziej bywał w domu, zaczął działać w podziemiu i organizować Związek Walki Zbrojnej na terenie swego lasu i dalej aż do Andrzejewa. Wciągnął do pracy gajowego Samsła, jak również Józefa Mościckiego z Podborza, który był po maturze i przeszkoleniu wojskowym. Obaj zginęli. Ponieważ represje nasilały się, przed Bożym Narodzeniem 1939 roku ojciec przeszedł na stronę niemiecką do Ostrowi, na teren Generalnej Guberni. Planował przygotować grunt i zabrać nas, czyli mamę Marię i cztery córki – mnie (Zofię), lat 12, Zdzisławę, lat 11, Irenę, lat 10, Barbarę, lat 7. Nie zdążył. 10 lutego 1940 roku, około godziny 5 rano przyjechały trzy furmanki i 14 sowietów. Kazano nam się spakować w ciągu pół godziny. Mama zemdląła, babcia krzyczała, a my, dzieci, w pośpiechu zakładałyśmy na siebie co popadło. Myślałam, że wywiozą nas do lasu i rozstrzelają, ale powiedzieli, że przenosimy się w inne miejsce. Mamy zabrać żywności na dwa tygodnie. Zima, ciemno, mróz 40 stopni, my na saniach pod pierzynami. Żegnały nas tylko psy stojące przy furtce.

Pojechaliśmy najpierw do Jasionicy, a następnie do Czyżewa (ok. 35 km). Tam na stacji kolejowej umieszczono nas w wagonach towarowych, pośrodku stał żelazny piecyk, w kącie była dziura w podłodze służąca za ubikację. Oprócz rodzin gajowych, o których wspomniałam, byli z nami dwaj leśnicy z rodzinami: Pikiel z Kalinowa i Porajski (chyba z Nieskórza) z trzema synami – Andrzejem, Jerzym, Tadeuszem, córką Hanką, żoną, babcią i małym chłopcem. Umieszczono nas na pryczach, skąd mogliśmy wyglądać przez maleńkie okienka. Od czasu do czasu na stacji żołnierz rosyjski otwierał drzwi i krzyczał *po kipiatok* (po wrzątek) lub *szczy*

(zupa kapuściana). Czasami wzywano po węgiel do piecyka, abyśmy całkiem nie zamarzli. Tak jechaliśmy coraz dalej na wschód. 15 lutego przyjechaliśmy do Mołodeczna. Postoje bywały bardzo długie, poczym ruszaliśmy dalej. Mijaliśmy Mińsk, Samarę, Tułę, Ufę, przejechaliśmy Ural i pożegnaliśmy Europę. Za Uralem była już Azja. Minęliśmy Omsk, dojechaliśmy do Nowosybirsk, gdzie był dłuższy postój, tam zaprowadzono nas do *bani* (łaźnia), dano po kawałku mydła, a ubrania zabrano do dezynfekcji.

3 marca, po prawie czterech tygodniach, dojechaliśmy do Tajszetu, skąd prowadziła boczna linia od kolei transsyberyjskiej, w głąb tajgi. Przy tej bocznej linii było kilka posesioków, z których wywożono drewno, deski, szczapy. Saniami przywieziono nas ze stacji do posesioka Kwitok. Zima była jeszcze sroga, konie po brzuchy zapadały się w śniegu. Rozładowano nas i umieszczono w powięziennych barakach. Baraki były z bali i desek, dziury utykano trocinami, a żyjące w nich pluskwy nie dawały spać.

Dzieci od lat 14 musiały iść do pracy. Młodsze do rosyjskiej szkoły. Ja jako najstarsza, postanowiłam pójść do pracy, żeby pomóc mamie. Najpierw było to odśnieżanie torów kolejowych, układanie desek na składnicy, ładowanie szczap drewna na wagony. Potem praca w fabryce mebli, latem sianokosy. Jesienią chodziłyśmy też 10 km do kolchozu na kopanie kartofli, które kopano rękami, bo żadnych, nawet najprostszych motyk, nie było. Za dzień pracy dostawaliśmy wiadro kartofli i dwie brukwie. Latem były jeszcze jagody i grzyby, co dawało pewne urozmaicenie, ale gryzły nas niezliczone mrowia maleńkich meszek, które wchodziły w oczy, uszy, nos.

22 czerwca 1941 roku dowiedzieliśmy się z radością o napaści Niemiec na Związek Sowiecki. Przestały wtedy docierać do nas listy i paczki, które otrzymywaliśmy od rodziny Mościckich z Podborza. Jeszcze dotarła do nas fotografia mojego ojca. Już później dowiedziałam się, że ojciec został aresztowany w maju 1942 roku, trafił na Pawiak i ślad po nim zaginął. Nawet Czerwony Krzyż był bezradny.

12 września 1941 roku ogłoszono nam na zebraniu, że jesteśmy wolni *Polsza jest i budiet* (Polska jest i będzie) powiedział nam ten sam komendant, który jeszcze niedawno mówił *Polszy niet* (Polski nie ma). Po otrzymaniu *udostowierenija* (stwierdzenie tożsamości) mogliśmy jechać, gdzie chcemy w granicach Związku Radzieckiego, tam, gdzie nie było działań wojennych. Kto tylko mógł i miał za co, zbierał się do wyjazdu. Mama sprzedała futro i inne rzeczy, aby mieć na bilet. Planowała wyjazd na południe, gdzie cieplej.

Naszą przystanią miała być Kokanda w Uzbekistanie. Podróż trwała dość długo, wiele dni koczowaliśmy pod gołym niebem na dworcach, czekając na pociąg. Zalomowiliśmy się w Kokandzie, wynajmowaliśmy małą kwaterę od Uzbeka, a była to lepianka z kuchnią z gliny i

pryczą do spania na podłodze. Mamusia poszła do pracy do fabryki walonek (filcowe buty), ja też tam chodziłam pomagać jej wyrobić normę. Było tam znacznie cieplej i początkowo nie brakowało chleba. Trwało to jednak krótko. Nawałnica wojenna i tam dała się nam we znaki. Wprowadzono kartki na chleb, już nie biały, a czarny, brakowało mąki, kaszy. Niebawem zaczęliśmy zbierać trawę, gdyż nie było już lebiody.

W grudniu 1941 roku NKWD kazało nam się pakować i zabrali wszystkich Polaków, podobno w jedno miejsce. Wożono nas przez tydzień, poczym umieszczono w kołchozie wśród Uzbeków, gdzie była bawełna do zbierania. Do jedzenia mieliśmy tylko *urg* – śliwki i cebulę. Uciekliśmy ciemną nocą z powrotem do Kokandy.

Był to okres, gdy już zaczęła się w Związku Sowieckim formować Armia Polska pod dowództwem generała Władysława Andersa po układzie Stalina z generałem Władysławem Sikorskim. Początkowo chciano wywieźć ze Związku Sowieckiego nie tylko żołnierzy, ale i ludność cywilną. Dlatego zorganizowano ochronkę dla młodszych dzieci, a ja z młodszą siostrą zostałyśmy wciągnięte do Polskiej Służby Kobiet. Dano nam mundury i uczono musztry. Mama została zatrudniona w ochronce, aby mieć baczenie na swoje młodsze dzieci. Ale wkrótce ochronkę rozwiązano i zmieniono rozkaz. W rezultacie tylko osoby od 18 do 35 roku życia i do tego samotne mogły być przyjęte do wojska. My nie spełniałyśmy tych warunków. Wróciłyśmy więc ponownie do Kokandy. Tu, na szczęście, już działała polska delegatura, która się nami zaopiekowała. W tym czasie moja mama zachorowała na tyfus plamisty. Cały maj była w szpitalu, nie dawano jej żadnej nadziei, ale jednak wyszła z tej choroby, choć bardzo osłabiona. Ja otrzymałam pracę w delegaturze, za co dawano skromne wynagrodzenie, które jednak wystarczało na przeżycie.

1 sierpnia 1942 roku wyjechałyśmy z powrotem do Gorczakowa, gdzie formowano transport Polaków. Jakiś pan porucznik, samotny, wpisał nas jako swoją rodzinę i tym sposobem znalazłyśmy się szczęśliwie na liście do wyjazdu ze Związku Sowieckiego. 14 sierpnia 1942 roku żegnałyśmy ziemię sowiecką, jadąc pociągiem na południe do Krasnowodzka. Następnie przez Morze Kaspijskie do Pahlewi w ówczesnej Persji (obecnie Iran). Po drodze były postoje w obozach i czasowe pobyty w Teheranie, Achwaz, Karaczi (Indie). Dojechaliśmy do Bombaju i dalej na cztery lata do polskiego osiedla Valivade koło Kalhapur w Indiach. Wiedliśmy tam w miarę normalne życie, otrzymując 60 rupii miesięcznie na osobę, co wystarczało na skromne wyżywienie. Jedni poszli do pracy, młodzież do szkół. Zorganizowano nam również harcerstwo. Czekaliśmy na powrót do Polski, nasłuchując audycji radiowych o Powstaniu Warszawskim i walkach na froncie.

Nadszedł rok 1946, wojna skończyła się, nie wiadomo, co było z nami robić. Takich osiedli jak nasze było dużo nie tylko w Indiach, ale także w Afryce, Nowej Zelandii, Meksyku. Żołnierze z Armii Andersa zostali w Anglii, niektórzy we Włoszech, inni wyjechali dalej. Należało coś zrobić z dziećmi i połączyć nas z rodzinami. Ponieważ moja rodzina nie miała żadnych widoków na wyjazd do Anglii, nie mając nikogo w wojsku, mogłyśmy wyjechać do Afryki, na dalszą tułaczkę po świecie lub wrócić do Polski. Ja zdecydowanie widziałam swoją przyszłość w Polsce i wbrew woli mamy wróciłam 3 maja 1947 roku do Polski. Moja mama oraz siostry Zdzisława i Barbara wróciły do Polski w lutym 1948 roku. Siostra Irena wyszła za mąż za Portugalczyka Costa-Bir i została w Goa (Indie). Wróciła do Polski po 25 latach z drugim mężem, Polakiem Ropelewskim i córką Ramoną. Moja mama zmarła w Częstochowie w sierpniu 1949 roku, siostra Barbara zmarła w wieku 50 lat, Zdzisława w wieku 60 lat (obie pochowane w Warszawie).

Ja po powrocie do Polski zatrzymałam się u państwa Mościckich w Podborzu, pod Ostrowią. Szukałam śladów ojca, ale nie znalazłam. Można powiedzieć, nieco żartobliwie, znalazłam męża. 11 lipca 1948 roku wzięłam ślub z Janem Mościckim. Mój mąż skończył medycynę, ja stomatologię. Mamy dwie córki i syna oraz ośmioro wnucząt.

Co stało się z innymi, którzy zostali wywiezieni razem z nami na Syberię?

Żona gajowego Samsła pochowała dwójkę dzieci w posesji Kwitok, sama zaś dostała się do Armii Andersa, poległa, została pochowana w Teheranie (Iran).

Rodzina gajowego Galasińskiego trafiła do Afryki. Było tam pięcioro dzieci. Starsi Stanisław i Franciszek poszli do Armii generała Andersa. Ich siostra Jadwiga podobno wróciła do Polski, ale nie wiem, czy na pewno. Siostra Halina została w Anglii. Nie mam z nimi kontaktu.

Rodzina gajowego Romanika po pobycie w Afryce nie wróciła do Polski. Podobno wyjechali do Stanów Zjednoczonych.

Z rodziną leśniczego Pikiela rozstaliśmy się w Kokandzie. Nie są mi znane ich losy. Po latach w Cambridge (Anglia) spotkałam na cmentarzu nazwisko Mariana Pikiela.

Losy rodziny leśniczego Porajskiego też były tragiczne. Gdy opuszczaliśmy posesję Kwitok Porajski był umierający, jego żona zdecydowała się z córką Hanką i synem Andrzejem zostać razem z nim. Nie mogli zabrać ze sobą w drogę umierającego ojca, dlatego wyjechali tylko młodsi synowie Jerzy i Tadeusz. Dostali się do Armii Andersa i po przejściu szlaku bojowego wrócili do Polski. Przeżyli, mieszkają w Warszawie. Po śmierci Porajskiego jego żona z córką i synem dostała się jeszcze do Armii generała Berlinga i tą drogą wrócili do Polski.

Zofia Dudek-Mościcka (tekst z 2005 r.)